

# Marian Filar

---

## Mięso z kością

---

Palestra 42/1-2(481-482), 47-49

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Co piszczy w prawie

Marian Filar

## ■ Mięso z kością

Nie jestem fanem myślenia mistycznego. Nie ulegam więc magii Nowego Roku. Nie sądzę, iżby z faktu, że w określonym momencie na cyfrze „12” zegarowej tarczy spotykają się trzy wskazówki miało coś szczególnego wynikać. A zwłaszcza iżby miało to oznaczać, że coś się definitywnie kończy a coś definitywnie zaczyna. Przepraszam Czytelników, którzy zachowali w pamięci upojne przeżycia sylwestrowej nocy i pełni nadziei oczekują na spełnienie noworocznych życzeń, ale Nowy Rok to dla mnie raczej wydarzenie rachunkowo-księgowo niż jakiegokolwiek inne. Skoro zaś o księgowości mowa, to na miejscu będzie bilans. Robią go wszyscy, spróbuję zrobić i ja. A czegoż miałby dotyczyć taki bilans robiony przez prawnika, w prawniczym czasopiśmie, jak nie prawa właśnie?

Nie jestem pesymistą i na życie lubię patrzeć z jaśniejszej jego strony. Mimo najlepszych chęci trudno byłoby mi jednak zaliczyć ubiegły rok do udanych dla prawa w Polsce. Zaczęło się od nowej Konstytucji. Nie chodzi tu nawet o takie lub inne jej rozwiązania, bo z konkretnymi rozwiązaniami zawsze można dyskutować, lecz o atmosferę wokół jej uchwalenia. Dyskusja w tym względzie bliższa była atmosferze pyskówki rodem

z magła niż rzeczowej analizy tego najważniejszego dla Polski na wiele lat aktu prawnego. Gdy paryski piekarz z Montparnasse otrzymywał do ręki Deklarację Praw Człowieka i Obywatela czy farmer z Kentucky amerykańską konstytucję, też zapewne nie orientował się w jej prawniczych implikacjach. Wiedział jednak, a przynajmniej czuł, że dano mu coś wielkiego i ważnego, co i jego czyni większym i ważniejszym. Piekarz z Kuluszek czy rolnik spod Sieradza wiedzą co najwyżej, iż jacyś faceci w Warszawie coś tam wzajemnie wytargowali, co zresztą i tak będzie można przy pierwszej okazji w drodze podobnych targów zmienić. Trudno więc oczekiwać, by w związku z tym czuł się większy, lepszy i ważniejszy. W dalszym ciągu będzie więc przekonany, iż swych praw bronić mógł będzie skutecznie nie za pomocą tego kawałka papieru, lecz np. traktora ustawionego w poprzek publicznej drogi.

Gdy ucichł już nieco gwar wokół Konstytucji, polka galopka rozpoczęła się wokół nowego kodeksu karnego. I znów, zamiast węzłowych dla tej kodyfikacji zagadnień, przedmiotem rozpalającej do czerwoności dyskusji stało się to, czy będzie w niej kara śmierci, do ilu lat obniżona zostanie granica odpowie-

działności nieletnich i co będzie z tzw. pornografią, a więc sprawy, które dla praktycznego funkcjonowania kodyfikacji mają znaczenie całkowicie trzeciorzędne. Wszystko zakończyło się, jak mogłoby się wydawać happy-endem, jako że kodeks został uchwalony przez parlament przy minimalnych na szczęście zmianach. Tere fere! Sejm przedłużył ostatnio *vacatio legis* tego aktu o symboliczne 9 miesięcy. Wprawdzie argumentowano, że chodzi wyłącznie o skoordynowanie z nowym kodeksem prawa wykroczeń i karnoskarbowego i, jak zapewniało mnie kilku wpływowych polityków, nikt nie ma zamiaru wykorzystania tego przedłużonego połogu do majstrowania przy nowonarodzonym, że tak będzie naprawdę, nie dałbym przysłowiowego funta kłaków. I choć nie lubię się mylić, tu naprawdę chciałbym być złym prorokiem. A takie macherki byłyby fatalne dla ogólnego prestiżu prawa w Polsce.

Do wzrostu tego prestiżu nie przyczynia się też *dance macabre* wokół ustawy lustracyjnej. Wiem, że to sprawa złożona. Ani też myślę szczegółowo jej analizować. Nie dziwię się jednak sędziom, którzy w wytworzonej wokół niej atmosferze podchodzą do niej, jak przysłowiowy pies do jeża. Jeśli ktoś wychował się jako sędzia karny czy cywilny na zasadzie kontradiktoryjności procesu, domniemania niewinności, swobodnej oceny dowodów itp. to trudno się dziwić, iż do procedury lustracyjnej będzie miał właśnie takie podejście. I nie wpłynie na pewno na zmianę jego postawy polityczno-publicystyczna nagonka na środowisko sędziowskie, która zaowocować ma sławetną „specustawą” lustrującą to środowisko na zasadzie

„nie chciałeś zostać krwiopijcą, to teraz bratku zostaniesz krwiodawcą”. Nie ma nic gorszego dla demokratycznego państwa prawa niż różnorodne ekstraordynaryjne „specustawy”. W państwie takim bowiem wszelkie sprawy, także i te nieprzyjemne i bolesne załatwiać należy według powszechnego, a nie „doraźnego” porządku prawnego. Mamy już zresztą pierwsze owoce tej „antysędziowskiej” krucjaty! Dziś ulubionym zajęciem różnych niekwestionowanych łapserdaków, zasiadających na ławach oskarżonych, staje się składanie wniosków o wyłączenie sądu, bo ten ich zdaniem jest „komunistyczny” lub „stronniczy”.

Nie będzie wprawdzie prawdziwej III Rzeczypospolitej bez należytego prawnego rozliczenia tego, co było przestępcze za czasów PRL-u. Najlepszym dowodem tego był społeczny szok po wyroku w sprawie „Wujka”. Ale nie rozwiążą tego żadne „specustawy” ani „sondergerichty”, bo to fantomy z całkiem innej bajki, w tym przypadku bajki braci Grimm.

Warto tu też przypomnieć, iż choć jest życie po życiu, to nie ma rewolucji po rewolucji. To co mogło się udać po roku 1989, nie ma szans na sukces w dziesięć lat później. Tak jak nie miałyby takich szans próba zbudowania przez młodszego brata Robespierre’a nowej gilotyny na placu Vendôme w 1800 roku, gdy drewno ze starej poszło już dawno na opał, sukno rozdzielono na pantalone dla stojących co bliżej podium, a stary „mistrz” dorobił się już stopnia majora w żandarmerii polowej „wielkiej armii”.

Późną jesienią zafundowaliśmy sobie jeszcze przepychanki wokół Trybunału Stanu. Swoista technika „mono” w jego

tworzeniu dała opozycyjnej lewicy do ręki argument, iż zwycięska koalicja realizować będzie teraz zasadę „nasz rząd, nasz sąd” i TS stanie się czymś w rodzaju „Kolegium ds. Polityczno-Sejmowych Wykroczeń Lewicy”.

I cóż z tego, że jest to argument głęboko obraźliwy dla członków Trybunału, którzy choć zapewne mają swe poglądy i sympatie polityczne, wchodząc na sądową salę pozostawiają je w szatni kierując się, jak na sędziów przystało, jedynie faktami i obowiązującym prawem? Sygnał poszedł „w lud”. Dlatego też nie zdziwiłem się specjalnie, gdy jeden z nowo wybranych jego sę-

dziów opowiadał mi, iż jego gosposia po dowiedzeniu się o awantazie pryncypała radośnie zawołała: „jak to dobrze, Panie Mecenasie, wreszcie zrobi Pan porządek z tym mięsnym na parterze, gdzie dodają nam za dużo kości do mięsa”.

Bo choć ilość kości w mięsie to też ważna sprawa i od tego też powinny być jakieś „sądy”, niech to zawołanie troskliwej gosposi będzie miarą spadku prestiżu prawa jaką sami, „tymi rencami”, zafundowaliśmy sobie w mijającym roku. I oby Nowy – 1998 był pod tym względem lepszy! Czego sobie i Państwu życzę, choć nie jestem fanem myślenia mistycznego!